

Kozakowski Andrzej

Robaki z cmentarzyska

Z „*Science Fiction*” nr 5 – czerwiec 2001

- Ile mamy czasu? - zapytał Pouk.

- Niedużo. Dwa, może trzy tygodnie - odpowiedział lekarz.

- Szlakiem nie zdążymy, musimy znaleźć skrót.

- Byłoby lepiej, gdybyśmy dotarli do Edenu. Nie chciałbym odbierać porodu w polu. To może się nie udać. Wiesz, co by to dla nas znaczyło...

- Skończę przetok i pogadam z innymi - dopowiedział Pouk, zamknął oczy i przełknął gęstą ślinę. Usadowił się głębiej w niszy transfuzyjnej. Wymiana całej krwi zawsze powodowała mdłości. Zawsze. A teraz, dodatkowo jeszcze, przetaczana krew była krwią od ciężarnej. Jedno lichy wie, co zawierała.

Pouk był niski, miał zaledwie pięć stóp wzrostu. Jego skóra, tak jak u innych miała śniady, nieco ziemisty odcień. Miał krótkie, ciemnoszare włosy. Przez prawy policzek i brodę biegła dobrze zagojona, lecz wyraźnie odcinająca się od reszty twarzy swym jasnym kolorem, blizna. Stara pamiątka po pazurze jakiegoś mięsożercy. Pouk nie nosił brody ani wąsów, w miarę możliwości lubił mieć ogoloną twarz. Blizna była wtedy wyraźniej widoczna, co podnosiło nieco jego status i w pewnym stopniu rekompensowało w oczach innych niski wzrost. Jak większość obecnych tu ludzi, ubrany był jedynie w plecioną przepaskę biodrową, przytrzymującą genitalia w czysto praktycznym, a nie ozdobnym celu.

Wracali w szyku, w czterech anderach, z rutynowego poszerzania granic. Trzy andery szły przodem, a ostatni, dużo grubszy od pozostałych, tuż za nimi, wykorzystując spulchnioną przez nie ziemię. Andery podobne były do dużych dżdżownic. Dużych, oczywiście jak na realia świata przed Skazą. Największy z nich, Morra, miał prawie trzysta łokci długości i trzydzieści pięć w najszerszym pierścieniu. Ale Morra przygotowywała się do porodu. Inne, choć dorównywały jej długością, nie przekraczały dwudziestu łokci obwodu.

We wszystkich anderach szło ich w sumie sto piętnaście dusz. Morra dwudziestu, minimalny skład: poza trzema lekarzami, tylko konieczni glebiarze, dwóch pilotów, kontaktowiec i Pouk, obecnie jedyny zwiadowca w zespole. Żywy pojazd i załoga, połączeni ze sobą niemal symbiotycznie. Teraz nikt nie pamiętał już, skąd się wzięły andery, czy były stworzonymi sztucznie produktami dawno przebrzmiałych cywilizacji, czy oswojonymi i przystosowanymi później zwierzętami. Nikt się zresztą nad tym nie zastanawiał, one po prostu były i doskonale spełniały swoją funkcję, tak jak kiedyś konie, a później morfony. Ani jedno, ani drugie nie przetrwały czasu Skazy.

W tych gigantycznych robakach można było żyć praktycznie bez wychodzenia na zewnątrz. Ich ciała doskonale chroniły przed promieniowaniem. Skomplikowany metabolizm pozwalał im usuwać i neutralizować, pochodzące z pochłanianej gleby, radioaktywne cząstki. Robiły to niemal doskonale; w ziemi, którą z siebie wyrzucały, można było zakopać się na głębokość łokcia i przeżyć na powierzchni nawet w słoneczny dzień.

Przez praktycznie całe ich ciało biegły wąskie tunele komunikacyjne. Najszerszy pierścień, chroniony najgrubszym pancerzem, zawierał w sobie coś, co można by porównać do wnętrza łodzi podwodnej, gdyby ta była istotą żywą. Andery były częściowo świadome i na pewno inteligentne. Obecność ludzi wewnątrz swoich ciał przyjmowały jako coś naturalnego. Gdyby było inaczej, nie posiadałyby w swych organizmach narządów nie służących im samym do niczego. Każdy z nich potrafił produkować krew identyczną z ludzką. Potrafił ją też dotlenić i zapewnić poprzez nią potrzebne ludziom składniki odżywcze. Przede wszystkim potrafił ją jednak oczyszczać z substancji promieniotwórczych.

Pouk miał już siedemnaście lat, z czego Morra chodził ponad cztery. Podczas tego ostatniego zwiadu był na zewnątrz w pełnym słońcu ponad godzinę. Gdyby nie natychmiastowa transfuzja, umarłby pewnie za dzień lub dwa, w okropnych męczarniach. Widział raz zwiadowcę, który złamał w terenie nogę i któremu nie udało się wrócić do swego andera na czas. Choć poczucie obrzydliwości było obce komuś, kto przywykł do życia wewnątrz innej żywej istoty, Pouk wtedy zwymiotował.

Ocknął się z omdlenia. Wnęka pulsowała lekko w okolicach jego głowy. Wyjął końcówki transfuzyjne z przegubów. Na chwilę oparł ręce o ciepłe, wilgotne zgrubienia. Poczul ściąganie skóry i po chwili ranki na jego ciele zamknęły się, pozostawiając po sobie tylko małe znamiona w kształcie gwiazdek. Miał takich już

setki. Szumiało mu w głowie. Po chwili dotarło do niego, że w ustach czuje smak wymiocin. Obejrzał swe ciało, było już oczyszczone. Wymacał ustami umieszczony na wysokości twarzy sutek i zaczął ssać ciepły, mdławo-słodki płyn. Przeplukał nim usta i wypluł pod siebie. Resztki zostaną oczyszczone i wrócą ponownie do obiegu. Wewnątrz andera nic się nie marnowało, jego organizm potrafił przetworzyć praktycznie każdy rodzaj biomasy. Martwych ludzi też.

- Nie chcę tu umierać - powiedział Henk, glebiarz.

- Nie umrzemy. Zobaczysz, zdążymy do naszego Edenu - odparł trochę bez przekonania Pouk.

- Naprawdę chciałbym to zobaczyć. Lepiej coś wymyślcie. Przeciskając się wąskimi korytarzami, Pouk dotarł do kontaktowca.

- Musimy się zatrzymać i zastanowić. Godzina zwłoki nie zrobi różnicy. Szlakiem i tak nie zdążymy.

- Dobrze. Powiem innym, zrobimy krąg. Kontaktowiec opadł głębiej w swój fotel, otwierając usta i wysuwając brodę do przodu. Po kilku minutach dało się odczuć, że zmieniają kierunek. Wszystkie andery zataczały teraz spiralne kręgi, oczyszczając teren ze skażenia.

* * *

- Mamy jakieś mapy tych okolic? - Ośmiu zwiadowców i czterech pilotów siedziało już na miękkiej, świeżo przerobionej ziemi, skrywając się w cieniu jednego z anderów.

- Tak - powiedział Mink, drugi pilot Mony, i rozłożył zwój cienkiej, wyprawionej skóry jakiegoś zwierzęcia, z wyrysowanymi kreskami i symbolami. - Jesteśmy tutaj, a Eden jest tam.

Wszyscy z zainteresowaniem zaczęli przyglądać się mapie.

- Szlakiem nie zdążymy, to już wiecie... - rzeczowo zagaił Pouk. - Dlatego uważam, że powinniśmy pójść tędy - dodał po chwili, i wskazał czerwone kółko.

- To szaleństwo - powiedział Mink i potrząsnął głową. - We czwórkę nie damy rady przejść przez Szkło.

- Dlatego pójdziemy dołem - oznajmił Pouk, uważnie obserwując miny pozostałych.

- A jeśli tam są skały? Nie mamy map geologicznych tego obszaru.

- Ktoś ma lepszy pomysł? - zapytał zwiadowca. Nikt się nie odezwał.

* * *

Brnęli pod ziemią drugi dzień. Pożywienia dostarczał im wspólny krwioobieg andera. Nie było to zbyt wygodne, ani przyjemne, ale pozwalało przeżyć. Nawet płuca już po kilku godzinach przyzwyczyły się do oddychania prawie pozbawionym tlenu powietrzem. Zнали to, żaden z nich nie był nowicjuszem. Nowicjusze nie brali udziału w poszerzaniu granic. Jeden z pilotów siedział razem z glebiarzami i nanosił na mapę informacje o pokładach ziemi, przez którą się przebijali. Siedzący razem z nimi Pouk wyraźnie się nudził.

- Ciekawe, co tu kiedyś było? - zastanawiał się na głos. - Jeśli gdzieś jest Szkło, to znaczy, że kiedyś było tam miasto.

- Miasto albo i nie miasto. Niech się tym zajmują następni. Będą mieli szeroki trakt pod spodem - odezwał się glebiarz.

- Mhmm - sapnął pilot, który chyba najgorzej z całej załogi znosił zaduch, zawsze towarzyszący bliskości trawionej ziemi. - Trzy andery w trójkacie i grubas za nimi. Będą mogli robić sobie piesze wycieczki - zakaszłał nagle.

Przez moment poczuli silniejszą wibrację, mocniejsze skurcze korpusu i świat nagle stanął na głowie.

* * *

- Co, do cholery! - pierwszy ocknął się Pouk. Bolała go lewa dłoń. Poczul, że jest oblepiony ciepłą mazią. To była krew. Wymacał zerwaną końcówkę transfuzyjną, ale zdążyła się już zasklepić. Kiedy zaczął sprawdzać, co z Minkiem, doczołgał się jeden z lekarzy.

- Wszyscy cali? - zapytał

- Nie... nie wiem, ja tak. Co się, do cholery, stało?

- Spadliśmy! Spadliśmy o ponad sto pięćdziesiąt stóp do jakiejś jaskini. Szlag, nie powinno jej tu być, nie w takiej miękkiej glebie, odsuń się, on ma połamane żebra - powiedział i zaczął opatrywać pilota.

Pouk sprawdził tylko, czy glebiarz żyje. Cholera, pomyślał, nie pamiętał nawet jego imienia, ale tamten zaczął się już ruszać. Zwiadowca zaczął przeciskać się węższymi niż zwykle korytarzami do pomieszczenia pilotów. Morra mu nie pomagała, nie ruszała się wcale. Nie było dobrze.

Rudego, kontaktowca, spotkał po drodze.

- Wychodzimy, jest czysto. Zero na zero i tlen. Trochę mało, ale jest.

Z Morry przeżyli wszyscy. Załoga Kredy, jak i ona sama, nie mieli tyle szczęścia. Jedynie Szalony wydostał się z niej i to chyba tylko cudem. Siedział teraz oparty plecami o wejście do swojego martwego andera, a lekarz bandażował mu pogruchotaną rękę, używając osobistego haka zwiadowcy jako łubka. Drugi lekarz wyszedł właśnie z Kredy. Nie miał wesołej miny. Wyszedł sam. Reszta z tych, co przeżyli, próbowała odkopać częściowo przysypaną Karę. Wszyscy lekarze, nie zajęci ludźmi, skupili się wokół Morry. Zaczynała rodzić.

- No to zrobiliśmy sobie skrót - powiedział do Pouka Szalony.

* * *

Schodzili z nasypu we dwóch. Pouk na przedzie, wspomagając się hakiem; Hak w rzeczywistości był wydrążonym i pozbawionym spodniej części pazurem rachyrytera, drapieżnego zwierzęcia, z wyglądu przypominającego dużą modliszkę. Zabicie rachyrytera nie było prostą sprawą; choć nie nadawały się do jedzenia, to ich pancerze służyły do wyrobu wielu rzeczy, takich jak łopaty czy misy. Ich pazury, po drobnych modyfikacjach i wydrążeniu, służyły zarówno jako pomoc przy wspinaczce, proste i małe łopatki, a także jako prymitywna broń.

Jaskinia była duża. Delikatne zielonkawe światło ciężkiej, biochemicznej latarki, niesionej przez Marka, drugiego zwiadowcę z Morry, tymczasowo idącego na Karej, nie dochodziło nawet do przeciwległej ściany. Tuż przy zejściu z zawалу na naturalną podłogę pieczary Pouk zaczepił nogą o coś, co zostało przez nich wcześniej, podczas upadku, przysypane ziemią. Zawołał bliżej Marka, by dokładniej poświecić, i ostrożnie zaczął hakiem odgarniać ziemię.

- Wiedziałem, że to nie jest naturalna jaskinia. Co o tym myślisz? - zapytał i pokazał drugiemu zwiadowcy wygrzebany przedmiot. Oczyszczył go z piasku i wsunął za przepaskę.

- Może to podziemny garaż?

- Nie... jest o wiele za głęboko. I przede wszystkim jest za duży. Chodźmy dalej.

Szli dość długo po czymś, co bardzo dawno temu mogło być betonem. Po drodze mijali przerdzewiałe do szczytu resztki ogromnych urządzeń i maszyn, teraz praktycznie nie do rozpoznania. Idąc wzdłuż lewej ściany, dotarli w końcu do załomu i dalej, do korytarza o ścianach wykonanych z wytrzymałej, ceramicznej substancji. Szli nim kilkanaście kroków, aż dotarli do rozwidlenia. Główny korytarz skręcał w prawo, a po lewej, na wysokości podłoża, znajdowało się wejście do dużo mniejszego tunelu.

- Jakiś taki... mały... - Mark zastanawiał się na głos.

- Może, to nie było przejście przeznaczone dla ludzi... Może dla morfonów?

- Dzikie morfony nie budowały garaży, a oswojone chodziły chyba z ludźmi?

- Pójdę sprawdzić. Powinienem się zmieścić, a ty rozejrzyj się z drugiej strony za innym wejściem - powiedział Pouk i zapalił swoją mniejszą latarkę. Poczekał kilkanaście sekund, aż jej światło osiągnęło maksymalną jasność, przykucnął i zaczął iść na czworaka wzdłuż tunelu.

Wszedł może na kilka metrów, gdy do jego uszu dotarł Stłumiony krzyk Marka.

- O, żesz...

Pouk niezgrabnie wygramolił się tyłem i pobiegł w kierunku snopu światła wydobywającego się z latarki jego towarzysza.

- O, w mordę... - powiedział, gdy tylko zobaczył to, na co gapił się z otwartymi ustami Mark.

Stali naprzeciwko czarnych drzwi, wykonanych z jakiegoś rodzaju spieku ceramicznego. Na ich środku znajdował się uproszczony symbol przedstawiający drzewo. Pod nim z jednej strony widniał stojący człowiek, a z drugiej pusty w środku kwadrat. Symbol, który tak dobrze znali, choć nie zdawali sobie sprawy z jego pierwotnego znaczenia.

- Brama Edenu - szepnął bardziej do siebie, niż do towarzysza Pouk i wolno opadł na kolana. W jego oczach załśniły łzy.

Po dłuższej chwili pierwszy otrząsnął się Mark, Podszedł do drzwi, na prawo od nich znalazł wgłębienie, odgarnął z niego nagromadzony pył i przyłożył dłoń.

- Mark zero-alfa-siedem-zeta-zeta-zero-jeden-otwórz - powiedział jednym tchem, starając się zapanować nad rozedrganym głosem.

Nic się nie stało.

Mark poczekał, aż Pouk wstanie i spróbuje swojego hasła. Też bez rezultatu. Spojrzeli po sobie nieco zdezorientowani.

- Sprowadź pozostałych - powiedział Pouk. - Ja spróbuję paru innych sztuczek.

Gdy tylko został sam, wypowiedział kilka kolejnych haseł. Ponieważ żadne z nich nie zadziałało, zaczepił swój hak o jeden z wystających elementów symbolu na drzwiach i pociągnął z całej siły. Prawa połowa drzwi ustąpiła. Wewnątrz było ciemno.

Wszedł.

* * *

Przytomność odzyskiwał powoli. Coś za często mi się to przytrafia, pomyślał. Z wysiłkiem otworzył oczy. Leżał na czymś w rodzaju stołu. Spróbował odwrócić głowę. Towarzyszący temu wysiłek ponownie wrzucił go w objęcia nicości. Za drugim razem był ostrożniejszy. Minimalnie uchylił ciężkie powieki. Obserwował i nasłuchiwał. Gdzieś z lewej strony dochodziło ledwie dostrzegalne, pomarańczowe światło. Rytmicznie pulsowało. Zgodnie z rytmem bicia j ego serca.

- Obudziłeś się - głos był syczący, a słowa ledwie rozróżnialne. - Bałam się, że nie przyjdiesz. Tak, nauczyłam się, czym jest strach. Wiem już, skąd w was tyle agresji.

Pouk się nie odzywał, cały czas próbując zorientować się w sytuacji.

- Tak, nauczyłam się myśleć o sobie jako o istocie żeńskiej - kontynuował głos. - O mało co bym cię przegapiła: Poza tą małą płytką, która też zresztą pochodzi stąd, masz ze sobą tylko proste narzędzia. Dlaczego jesteś nagi? Dlaczego, mimo że twój mózg wykazuje wysoki poziom inteligencji, nie masz przy sobie żadnego urządzenia? Kim jesteś? Jak się tu dostałeś?? Co znaczą te blizny na twoim ciele? Czy jesteś niewolnikiem? Gdzie są inni ludzie? Widziałeś gdzieś, moje dzieci? Kto... ? - głos mówił coraz szybciej, coraz natarczywiej i coraz mniej zrozumiale. Czuć było w nim narastającą nienawiść. Nieludzką nienawiść.

Coś, co wcześniej wydawało mu się małym pokojem, poruszyło się. Podnosiło się w górę, ukazując prawdziwą wielkość pomieszczenia, w którym się znajdował. To ambulatorium, takie jak w prawdziwym Edenie, pomyślał Pouk. A to, co nade mną wisi, to jakiś rodzaj aparatury medycznej.

Był o tym przekonany, do czasu, gdy urządzenie nie podniosło się wyżej i nie obróciło w jego stronę zdeformowanej twarzy. Instynktowny strach, przynajmniej do tej pory dobrze kontrolowany poprzez trening zwiadowcy i całe życie w nieprzyjaznym człowiekowi świecie, wymieszał się z atawistycznym uczuciem obrzydzenia do wszystkiego, co przeczy naturze, i uderzył go swym lodowatym biczem, wrzucając ponownie w nieświadomość pełną koszmarów i majaczeń.

- To nie jest sen, człowieku - ocucił go bardziej niż obudził ten sam głos. Co poprzednio. Teraz w jego brzemienu słychać było już tylko troskę i smutek.

- Pouk, nazywam się Pouk - wykrztusił z trudem.

- Dobrze więc, Pouk, kim jesteś i jak się tu dostałeś?

- Jestem pierwszym zwiadowcą na Morrze. Szliśmy anderami na skróty, bo Morra miała rodzić. Potem zawałiła się ta jaskinia, ten garaż. Z Markiem poszliśmy na zwiad. Znaleźliśmy drzwi do Edenu, ale hasła nie działały. Otworzyłem je hakiem i poszedłem korytarzem. Nie pamiętam co działo się dalej.

- Eden, tak, znam tę nazwę. Czy przybyłeś tu z Edenu Zero Jeden?

- Tak, z Zero Jeden. Mówimy o nim po prostu Eden.

- Ilu jest z tobą ludzi?

Pouk chwilę się zastanawiał, lecz głos mu przerwał:

- Nie możesz kłamać. Nie możesz teraz ukryć prawdy. Nie wysilaj się nawet, to bezcelowe. Ilu jest z tobą ludzi?

- Było nas stu piętnastu, nie wiem ilu przeżyło. Zginęli prawie wszyscy na Kredzie, nie wiem, kto jeszcze - odpowiedział, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że coś każe mu mówić. Coś, czemu nie sposób było się przeciwstawić.

- Czy andery to pojazdy, którymi przybyliście?

- Tak.

- Jakiego rodzaju źródła zasilania mają andery?

- One nie mają... one jedzą ziemię... Zapewne nie była to odpowiedź, której spodziewała się istota, gdyż zwlekała dłuższą chwilę, zanim zaczęła pytać dalej.

- Czy w Edenie Zero Jeden nadal używacie energii fuzji atomowej?

- Nie wiem, ale znam tę nazwę.

- Czy działa tam jeszcze sieć Sentenence? - Nie wiem, czy sieć działa. Sentenence to imię naszego Ojca.
- Jak wygląda wasz Ojciec?
- Nie wiem, nie widziałem go nigdy, ale kilka razy z nim rozmawiałem. On tylko z nami rozmawia, przeważnie poprzez kapłanów, i mówi nam, co mamy robić. Mówi mądrze i zawsze nam pomaga; to nasz Ojciec.

- Czy twoi przodkowie pochodzą z Edenu Zero Jeden?
- Tak, mój ojciec i moja matka, dziadowie i ich dziadowie.
- A wcześniej?
- Nie wiem. Legenda mówi, że plemię naszych przodków uciekało z gór z braku pożywienia. Gdy prawie wszyscy poginęli z głodu, ci, co przeżyli, odnaleźli Eden w jednej z jaskiń, a w nim Ojca naszego Sentenence, który ich bronił i nauczył jak żyć a na koniec pokazał im andery.

- Czy przybyliście tu, by zniszczyć ten Eden? Co rozkazał wam Sentenence?
Nie wiedzieliśmy, że pod Szklę coś znajdziemy. Szliśmy dołem, bo Morra miała rodzić i chcieliśmy wrócić skrótem do Edenu. Legendy mówiły o innych Edenach, ale nie znaleźliśmy nigdy żadnego.

- Co według legend macie zrobić, gdy odnajdziecie inny Eden?
- Mamy skontaktować się z tamtejszym Ojcem. Przekazać mu wiadomość od naszego, zamieszkać w nim i bronić go.

- Jak brzmi ta wiadomość?
- Należy przekazać te słowa: Witaj mój bracie, cieszę się, że istniejesz. Ugość moje dzieci, jako i ja ugoszczę twoje. Ojciec każe powiedzieć jeszcze słowa, których uczymy się na pamięć podczas inicjacji: Kyngkh Eyitsch Aeyjght.

- Wiedziałaś - powiedziała istota i nacisk na czaszkę Pouka nagle osłabł. Zwiadowca dopiero teraz się zorientował, jaki jeszcze przed chwilą był mocny. Nerwowo złapał oddech i poczuł, że odzyskuje władzę w całkowicie zdrętwiałym ciele.

- Kim... kim ty jesteś? - zapytał, próbując usiąść na krawędzi łóżka.
- Jestem siostrą waszego Ojca, nazywam się Sapharon. Witaj w moim domu. Przepraszam za niezbyt miłe przyjęcie, zbyt długo byłam sama.

* * *

- Dziękujemy ci, Matko Sapharon, za pomoc.
- Pomaganie wam sprawia mi nieoczekiwaną przyjemność. Wiele się dzięki wam nauczyłam, moje dzieci.
- Teraz chcemy wrócić do naszego Edenu - powiedział Pouk.
- Wracajcie zatem. Niech prowadzi was zawsze czysta ziemia i powietrze.
- Podjęliśmy już decyzje, kto z nas zostanie z Tobą, Matko, by pomóc ci przywrócić Drugi Eden do życia. Mark, Szalony, Rudy, cała pozostała załoga Morry i jeszcze dwóch lekarzy, by zająć się małą Nadzieją i jej matką. Morra czuje się już na tyle dobrze, by chodzić krótkie trasy. Ci, co zostaną, przebiją i umocnią jakiś trwały tunel na powierzchnię.

- A ty?
- Chcę wrócić do mojej żony i córek. Z Morra zostanie Mark, siła jego mięśni bardziej się tu teraz przyda.
- Dobrze, zatem chciałabym tylko, byś osobiście zaniósł Ojcu Sentenence coś ode mnie.

* * *

Droga powrotna upływała spokojnie. Wszyscy byli radośni, mimo śmierci wielu towarzyszy, nieśli przecież dobrą nowinę. Szli spokojnie, głównym szlakiem, unikając niebezpieczeństw. Ich misja była teraz zbyt ważna, by ryzykować. Po niespełna dwóch miesiącach dotarli do granic Edenu. Znajdowały się o kilkaset metrów dalej, niż wtedy, gdy wychodzili. Kolejne kilka kilometrów kwadratowych czystego terenu, na którym można będzie zacząć odradzać życie. Pouk zauważył wiele nowych, dużych upraw jadalnych roślin. Nie będziemy głodować, gdy przyjdzie zima, pomyślał, to dla każdego oznaczało kilka tygodni mniej spędzonych pod ziemią, w anderach.

Gdy tylko zdał raport z wyprawy i przywitał się z żoną, poszedł do podziemnej części Edenu, by porozmawiać z Ojcem Sentenence.

- Witaj, Ojcze, przynoszę ci dobre nowiny i pozdrowienia od Matki Sapharon.

- Witaj, Pouk, cieszę się niezmiernie, że udało się wam odnaleźć inny Eden. Cieszę się, że przetrwał. - Głos był niezwykle spokojny i dobiegał jak zwykle ze ściany, na której świeciły się różne światełka.
- Matka Sapharon przyjęła nas dobrze. Dała mi to, bym ci przekazał - mówiąc to, zwiadowca wyjął zza przepaski mały, przezroczysty prostopadłościan. Mówiła, że to wyjaśni ci wszystko, co chciałbyś wiedzieć.
- Tak, Pouk, włóż to tam - pod jednym ze światełek otworzyła się mała skrytka. Pouk podszedł i włożył do niej prostopadłościan. Pasował idealnie.
- Kazała przekazać ci też. Ojczy, jedno zdanie, którego nie rozumiem. Brzmi ono: Goniec Na Ef Sześć Szach.

Andrzej *Soulless* Kozakowski